

Ołeh Polakow  
**lodowa karuzela**  
Wydawnictwo ANAGRAM

Warszawa 2021

SERIA  
PROZA ŚWIATA

Tytuł oryginału: Крижана карусель

- © Copyright by Ołeh Polakow
- © Copyright for the translation by Ryszard Kupidura
- © Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo ANAGRAM,  
Warszawa 2021

Tłumaczenie  
Ryszard Kupidura

Redakcja i korekta  
Katarzyna Kusojć

Projekt okładki  
Jolanta Szostak

Opracowanie komputerowe  
Wanda Mierzejewska  
e-mail: [wanda.mierzejka@interia.pl](mailto:wanda.mierzejka@interia.pl)

Książka ukazała się dzięki finansowemu wsparciu Ukraińskiego Instytutu Książki w ramach programu *Translate Ukraine*

Ця книга була видана за сприяння грантової програми підтримки перекладів *Translate Ukraine*

This book has been published with the support of the *Translate Ukraine* Translation Grant Program

PATRON MEDIALNY

ISBN 978-83-65554-94-9

Wydawnictwo ANAGRAM  
ul. Niekłańska 35 lok. 1  
03-924 Warszawa

Księgarnia internetowa:  
[www.anagram.com.pl](http://www.anagram.com.pl)  
e-mail: [anagram@adres.pl](mailto:anagram@adres.pl)

*Lud nosi pieczęć zimy,  
której nie sposób wyjaśnić.*

Carl Gustav Jung,  
*Archetypy i nieświadomość zbiorowa*

1

Ta historia zaczęła się w mroźną zimową noc na obrzeżach Kijowa, kiedy ktoś lub coś jak gdyby szepnęło Chrystynie do ucha: „To już koniec, moja droga, już nie zaśniesz”. I rzeczywiście, sen już nie nadszedł, a Chrystynie pozostawało jedynie rozmyślać nad tym, jak szybko po drugiej godzinie przychodzi trzecia, a po niej jeszcze szybciej piąta.

Chrystyna patrzyła przez firanki na oświetlony latarniami padający ukośnie śnieg, jednocześnie myśląc o czymś i nie myśląc o niczym. Możliwe, że przez chwilę ogarnęło ją przecucie przyszłych wydarzeń, które wkrótce odwrócą jej życie do góry nogami – podobny niewytłumaczalny niepokój i tęsknotę odczuwają zwierzęta przed nadejściem trzęsienia ziemi lub tsunami. Jednak do jej świadomości wkroczył nagle całkowicie odmienny, przy czym bardziej znajomy i prozaiczny, obraz sylwetek pracowników budowy.

Było jasne, że to właśnie ta ekipa robotników, którzy wynajmują mieszkanie w sąsiednim bloku, po raz kolejny skradła Chrystynie sen. Dość często się to zdarzało. I chociaż męska popijawa skończyła się dzisiaj krótko po północy, to jednak wystarczyła, by rozjrzeć stare rany.

Ich nocne imprezy rzadko pokrywały się ze świętami czy weekendami, mężczyźni kierowali się zapewne jakimś własnym grafikiem prac budowlanych lub innymi, bardziej osobistymi powodami. Zbierali się w osiedlowej altance obleczonej ze wszystkich stron zmatowiałą folią, która zamazywała i zniekształcała ich sylwetki, przez co wyglądali jak ryby złapane do celofanowych worków. Mieszkanie Chrystyny znajdowało się na drugim piętrze, jakieś pięćdziesiąt metrów od altanki, dlatego czasami w nocy, zwłaszcza latem, wydawało się jej, że ci faceci siedzą bezpośrednio na jej balkonie.

Chrystynę irytowały dysputy współczesnych ludzi pracy, a nade wszystko ich głośny, wrzaskliwy śmiech. Z jakich rzeczy na tym świecie mężczyźni śmieją się tak piskliwie, że aż zmieniają się w rozhisteryzowane baby?

Czasami wymyślała rozmaite plany zemsty, niekiedy zabawne, a niekiedy całkiem okrutne.

Bywało, że marzyła o tym, że staje się mocarnym bokserem, wyłaniającym się raptownie zza rogu z kijem bejsbolowym i młóćącym ich wszystkich jak popadnie. Innym razem, gdy bezsenność dawała jej się skrajnie we znaki, przylatywała na podwórko na wielkim hydrancie i bez ostrzeżenia zmywała tych gości wraz z całą ich altanką niczym uliczny brud.

Wymyślała również bardziej realistyczne sposoby zemsty. Na przykład chciała w środku nocy puścić ostrą muzykę, wykorzystując pełną moc starych radzieckich głośników, które służyły jej zamiast stołu, ale wciąż jeszcze były sprawne (kiedyś w ciemnym przejściu podziemnym przstraszyła ją w ten sposób grupa nastolatków, puszczając głośno *Galvanize* The Chemical Brothers). Wyobraziła sobie w końcu, że w tajemnicy nagrywa te wszystkie libacje na dyktafon, a potem głośno odtwarza je w środku nocy przez otwarte okno. To byłby wyczyn: obudzić śpiących imprezowiczów ich własnymi wrzaskami!

Pewnego razu postanowiła wreszcie działać. W głuchą noc, gdy światło podwórkowej latarni konspiracyjnie mrugnęło i zgasło, Chrystyna podkraśniała się do altanki z puszką farby i starając się opanować drżenie rąk, napisała na folii: ŚWINIE TO MY!

Kobieta myślała, że napis zostanie zamalowany przez robotników na drugi dzień. Jednak minął tydzień, za nim kolejny, a mężczyźni z jeszcze większą zaciętością zatruli jej życie swymi nocnymi pijackimi skowytami. Pewnego dnia, przechodząc obok altanki, Chrystyna zdała sobie nagle sprawę, że zaimek „MY” oznacza nie tylko robotników, ale także wszystkich jej sąsiadów, przechodniów, którzy czytają ten napis, w tym także ją samą. Stało się jasne, że budowlańcy byli górami, że pokonali ją. Jeszcze tej samej nocy Chrystyna sama usunęła napis.

\* \* \*

Telefon stacjonarny, strasząc mnie, eksploduje piskliwymi dźwiękami tak, że aż lampa zaczyna błyskać jaśniejszym światłem. Opcji jest niewiele: albo ktoś pomylił numer, albo windykatorzy szukają poprzednich lokatorów, którzy nabrali w bankach kredytów i uciekli.

– Cześć, Chrystynko!

To mama. Mama też lubi dzwonić na stacjonarny, bo sądzi, że komórki są szkodliwe, tylko dlaczego o szóstej rano? Ledwo powstrzymuję irytację: „I ty, Brutusie? I ty, mamó? Ty też masz gdzieś, że chciałabym się w końcu wyspać?”. Jednak szybko się opanowuję, przecież ostatecznie to nie ona pozbawiła mnie snu. Naprędce sklejam się na nowo.

Zamykam oczy i delektuję się talentem mojej mamy, która potrafi w ciągu jednego wdechu i wydechu skrócić dzielący nas dystans siedmiu i pół tysiąca kilometrów. Dawno nie dzwoniła i teraz hojnie obdarza mnie wieściami, mieszając nowe ze starymi, wielokrotnie już powtarzanymi.

Do amerykańskiej kaszy nie da się przyzwyczać, to zupełnie co innego niż nasza. Płatki owsiane należy wieczorem zalać wodą, dzięki czemu rano będą śliskie jak smarki i przez to najbardziej wartościowe. O nylonowych rajstopach powinno się zapomnieć aż do kwietnia, póki nie wyłączą ogrzewania, bo inaczej można nabawić się tych obrzydliwych pajęczków na nogach albo i jeszcze czegoś gorszego. Kup sobie nowe buty na zimę, do końca tygodnia wyślę ci dwieście baksów. I w ogóle to twoja ostatnia zima w Kijowie, w marcu zabieram cię do Stanów. Wczoraj Isaac namówił mnie, żebym kupiła piątą parę adidasów, tym razem fioletowych, mówi, że świetnie do mnie pasują. Adidasy są takim samym znakiem rozpoznawczym Amerykanów jak ten ich uśmiech. Nie zdziwię się, jeśli adidasy będą komuś wystawać z trumny, na szczęście jeszcze na żaden pogrzeb się tutaj nie załapałam. Można odnieść wrażenie, że mieszkańcy tych strzelistych wieżowców nie umierają jak wszyscy, lecz znikają niepostrzeżenie niczym wróble. Sama pomyśl – tylu ludzi i ani jednej trumny! Zaczęłam pracować jako kelnerka w restauracji Clarence’a, kuzyna Isaaca. Praca naturalnie nie jest zbyt prestiżowa, ale przynajmniej czuję, że to dodatkowy wysiłek, który pomaga obracać oś Ziemi.

No, proszę, potrafi się mamcia włączyć w światowe procesy! Niestety akurat tego talentu nie odziedziczyłam po niej genetycznie.

Byliśmy w ostatni weekend zobaczyć Niagarę. Caroline, matka Isaaca, choć pracuje jako pastor w jakimś kościele protestanckim (nie, nie przesłyszałaś się, pracuje jako pastor, to jest tutaj norma), jednocześnie jest strasznie przesądna. A może to ja nie do końca pojęłam zawilości ich wiary? Mówi na przykład tak: żeby Nowy Jork uznał cię za swoją, musisz przyjechać nad ten wodospad i wrzucić do wody jednodolarową monetę. Cóż mogę ci powiedzieć – nie żałuję wycieczki: tony wody, góry piany, jaskrawe, jakby malowane tęcze, a wszystko to razem grzmi majestatycznie: bu-bu-bu-bum!

Przewodnik powiedział, że Indianie sądzą, że to ślina kapie z ust niewidzialnego potwora, ducha Niagary. Myślałam, że spędziliśmy tam dziesięć czy piętnaście minut, ale Isaac pokazał mi zabryzganą wodą zegarek i okazało się, że minęła ponad godzina. Wszystkim tam dają płaszczki przeciwdeszczowe, bo inaczej zmokniesz jak robak.

Kiedy w końcu wyjęłam z kieszeni dolara i wrzuciłam go w wodną kapiel, a ten zamienił się w jedną z kropli wodospadu, ktoś nagle zawołał do mnie: „Natalko!”. Odwracam się, a tam twój ojciec! Nawet gdyby przemówił do mnie duch Niagary, nie byłabym tak zaskoczona. „Spokojnie, zero mistyki”, powiedział Kyryło, bo gdzie jeszcze miałyby się spotkać małżeństwo, jeśli nie tutaj, dokąd jeżdżą wszyscy żądni atrakcji! Isaac natychmiast spochmurniał, jakby wyczuwając, kim jest Kyryło, choć oczywiście nie rozumiał ani słowa. Musiałam skłamać, że to niby mój zubożały rodak prosi o pieniądze. Wcisnęłam Kyryłowi rezerwowego dolara, chcąc uspokoić tym Isaaca. Kyryło wczuł się w rolę, ukłonił się grzecznie i zamiast słów wdzięczności powiedział, że szuka cię od dawna, bo ma ważną sprawę. Mieszka niedaleko, w obwodzie żytomierskim, we wsi Stare Maślaki, ale stara się, by zmieniono jej nazwę na – wyobraź sobie! – Chrystyniówka! Niestety nie udało nam się wymienić numerami telefonów.

Och, mamciu, mamciu! Czy czasami stulecia ci się nie pomieszały? Od kiedy to u nas zmienia się nazwy miejscowości według własnego życzenia? A może to spotkanie z tatą tak na ciebie wpłynęło, że znowu odpłynęłaś?

Na pewno siedzi teraz w barze i sący whisky, jak zawsze nie odstawiając szklanki, tak jakby bała się, że jej ją zabiorą. Nigdy nie można było odczytać z jej twarzy, jak bardzo jest wstawiona. Głos zawsze równy, wypowiedzi błyskotliwe i logiczne. Wygląd też jakiś taki *niealkoholyczny*. Jeśliby zabrać ją z baru, to można by ją wziąć za nauczycielkę, która na chwilę odwróciła wzrok od zeszytów uczniów. Tymczasem w barze zdąży jeszcze tylko grzecznie zapytać kelnera o godzinę, po czym walnie głucho głową o stół, całkowicie tracąc świadomość.

Pod wpływem alkoholu moja mama zaczyna zwykle wymyślać niestworzone historie. Kiedyś w jednym z kijowskich barów z takimi szczegółami opowiadała przy kielichu przypadkowemu facetowi o napadzie na konwój z pieniędzmi, że barman, były policjant, zwabił matkę na zaplecze, przykuł ją do kaloryfera i zadzwonił po swoich dawnych kumpli. Ale już po kilku dniach, w innym barze matka odbiła to sobie. Tym razem opowieść dotyczyła jej samej, że została niby okradziona przez jakichś sportowców, ubranych w identyczne żółtoniebieskie dresy, prawie jak reprezentacja olimpijska. Ta historia na tyle poruszyła starsze żydowskie małżeństwo, że matka wyszła na ulicę ze stową dolarów i odnowioną wiarą w ludzkość.

Tak naprawdę przeprowadzka mojej mamy do Stanów była w pewnym sensie desperacką ucieczką od alkoholu. Najpierw uciekła przed nim z Kijowa do Irpienia, potem z Irpienia do Kijowa, potem do Hostomla, po czym znowu do Kijowa. Wyglądało to tak, jakby haftowała na mapie Ukrainy. W końcu zdecydowała się na bardziej radykalny krok. Dwa lata temu poznała w internetowym klubie anonimowych alkoholików Isaaca, który cieszył się tam wielkim autorytetem, ponieważ sprowadził na drogę trzeźwości kilku chronicznych nałogowców. Początkowo mieszkali z rodzicami Isaacka w Nevadzie, ale niedawno przeprowadzili się do Nowego Jorku.

Mimo tych entuzjastycznych opowieści mojej mamy o Niagarze i Starych Maślakach szósty zmysł podpowiadał mi, że w tej chwili jest trzeźwa.

– Kurka wodna, naprawdę jest szósta rano? – Mama nie może uwierzyć. – Powinna być dziewiąta! Przepraszam, córeczko, musiałam coś pomylić. Wciąż nie mogę się przyzwyczaić do zmiany czasu po tej przeprowadzce do Nowego Jorku, w dodatku ta moja nocna praca... U nas jest dokładnie jedenasta wieczór, no, teraz już trochę później.

– A zatem pora, mamó, żebyś ty poszła spać, a ja zaczęła dzień.

Kiedy typowa dziewczynka wychowywana przez samotną matkę słyszy słowo „tata”, w jej wnętrzu eksploduje mała bomba atomowa. Grzyb po wybuchu rozpiera jej klatkę piersiową, dławi gardło, napiera na oczy i wywołuje kaszel lub łzy. Jeśli nie od razu, to po pewnym czasie.

Mój przypadek jest nieco specyficzny. Ojciec pojawiał się nagle na różnych etapach mojego życia i równie nagle zniknął, jakby w ogóle nigdy nie istniał. Wydawało mi się, że za każdym razem był to inny tata, zwłaszcza że wyglądał i zachowywał się zupełnie inaczej.

Moje pierwsze wspomnienia pochodzą z okresu, kiedy miałam cztery lata. Lubiłam przesuwać palcami po twarzy ojca, zakrywać mu oczy, wkładać palce do jego nozdrzy, ciągnąć za długie uszy. Na brodzie miał dość duży pieprzyk, z którego sterczały włoski. Kiedy je szarpałam, tata marszczył brwi i węszył śmiesznie nosem, jak pies sąsiada, co bardzo mnie bawiło. Mogliśmy się tak bawić godzinami. Nigdy nie kończył zabawy pierwszy. Podobało mi się, że mój ojciec był starszy od matki. (Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że aż o piętnaście lat i że wcześniej miał inną żonę i syna). Szerokie spodnie dresowe, marynarska koszulka, długie, kruczoczarne włosy i oczy błyszczące jak słoneczne zajączki w filiżankach herbaty, którą uwielbialiśmy razem pić.

Następnym razem pojawił się, kiedy miałam dziesięć lat. Bródka á la Czechow, duże okulary, siwiejący jeź na głowie i długi czarny płaszcz. Kilka razy odprowadził mnie do szkoły muzycznej i z niej odebrał. Zachowywał się tak, jakby sześćioletnia przerwa w naszych relacjach była czymś nieistotnym, niewartym uwagi. Pewnego razu przechodziliśmy obok ławki w parku, przy której grupka ludzi piła alkohol i głośno się awanturowała. Mieli szare i złe twarze. Tata pewnie powiedział im coś w stylu: „Tu jest dziecko, nie przeklinajcie tak głośno”. I się zaczęło! Oczywiście, że przekleństwa słyszałam już wcześniej, jednak tamtego dnia na długo zapadły mi w pamięć. „Biegnij, córeczko, do tamtej piaskownicy” – tata popchnął mnie w jej kierunku. Szybko do niej dobiegłam i stamtąd obserwowałam dalszy przebieg wydarzeń.

Przysadzista, rozczochrana kobieta splunęła na jego plecy i potrafiła go łokciem czy też piersiami, kołyszącymi się pod rozciągniętym T-shirtem.

Najmłodszy,

z

papierosem

w ustach, kopnął tatę z tyłu. Ktoś inny rzucił pustą butelkę, która uderzyła go w głowę. Jednak tata nie odwrócił się ani nie przyspieszył kroku, a na jego twarzy pojawił się stłumiony, niezrozumiały uśmiech, jakby był gdzieś daleko lub widział coś, czego nikt inny nie dostrzegął. Wstydziałam się wracać z nim do domu i wysunęłam rękę z jego dłoni. Dotąd uważałam go za bohatera, a tymczasem on okazał się zwykłym tchórzem.

– To był jedyny sposób, aby uspokoić tę pijaną horde – wyjaśniła mi później matka. – W przeciwnym razie mogliby cię skrzywdzić.

Spotkaliśmy się ponownie po czterech latach. Tata zaprosił nas do restauracji i zamówił wszystko, czego nasze dusze zapragnęły. Moja mama udawała, że nic niezwykłego się nie dzieje, że nie dziwi jej ani nasze spotkanie, ani to, że prawie wszystkie zamówione dania próbowaliśmy po raz pierwszy w życiu. Mama miała na sobie poprawioną poprzedniego wieczora i upraną w nocy suknię ślubną, ojciec zaś ubrany był w granatowy garnitur w paski. W pewnej chwili ukradkiem zbliżył się do nas saksofonista i zagrał kilka zachęcających

nut. Rodzice wstali i poszli tańczyć. Niezła rodzinka, pomyślałam, wydłubując widelcem resztki farszu spod skórki szczupaka i z błogością patrząc na kolejną porcję warzyw julienne. Tamtego dnia byłam jednak gotowa przebaczyć grzechy całemu światu, ponieważ w mojej kieszeni tkwił nowiutki telefon komórkowy, pierwszy w mojej klasie i drugi w całej szkole. Byłam pewna, że nadchodzą cudowne zmiany w moim życiu, że od jutra będę miała nowe przyjaciółki, a co ważniejsze, wzbudzę zainteresowanie chłopców i w końcu to ja będę decydować, na kogo zwracać uwagę, a na kogo nie.

Czwarte spotkanie z ojcem miało miejsce w pociągu. Był ranek, zajęliśmy boczne miejsca w przepelnionym przedziale. Ojciec mówił coś niezwykle ważnego, ale mnie ciągle rozpraszał chaotyczny ruch zaspanych pasażerów, ich tępe spojrzenia, dotyk, odór niemytych zębów, przewieszane na szyjach ręczniki. Tata, jakby rozumiejąc mój stan, zamilkł i wyglądał przez okno. Dokładnie wytarł zapotniałą od wilgoci szybę. Nagle na jego spokojnej twarzy pojawił się wyraz autentycznego zachwytu. Wywołał go szybko zbliżający się do naszego pociągu samolot. Leciał bardzo nisko nad ziemią i celował prosto w nasze okno. Miałam wrażenie, że mogę rozpoznać uśmiechniętą twarz pilota. Kątem oka zauważyłam, że ludzi w przedziale jest coraz mniej. Wagon zrobił się praktycznie pusty, wszyscy pouciekali. Wykonałam w przerażeniu jakieś gesty w stronę taty, ale z jego ust zamiast słów wydobył się jedynie mechaniczny dźwięk...

Dzwonek do drzwi dzwoni bezlitośnie... A żeby się urwał, taki miałam sen sensacyjny! Złazę z łóżka i kołyszając się, jakbym wciąż jeszcze była w tamtym pociągu, docłapuję się do drzwi. Na progu stoi Żelka. Wygląda tak, że ledwo mogę się powstrzymać od śmiechu, chociaż wcale nie wypada śmiać się z ludzi, którzy mają podbite oko. Jednak tak naprawdę to nie siniak mnie bawi, a ten stary futrzany, przesiąknięty zapachem naftaliny czepiec, podobny do tego, jaki nosiła żółwica Tortilla ze starej radzieckiej bajki. Do pełni obrazu brakuje tylko roju moli, krążącego nad głową Żelki.

Jak się później okazało, Żelka znalazła ten czepiec we wnętrzu starej szafy. Nosiła go jeszcze jej prababka. Biedaczka (Żelka, nie prababka) miała nadzieję, że to staroświeckie nakrycie głowy pozwoli zatuszować siniak, tymczasem było dokładnie odwrotnie.

Żelka posiada niezwykley talent do pakowania się w różnego rodzaju kłopoty. Głupie i niedorzeczne przygody trzymają się jej jak bluszcz muru. Niewykluczone, że tym razem wzięła lemoniadę z górnej półki w supermarkecie, po czym butelka wyślizgnęła się jej z dłoni i trafiła ją w oko. Albo na klatce schodowej z jakiegoś kąta wyskoczył kot, czym przestraszył Żelkę, a ta potknęła się i uderzyła głową o skrzynki pocztowe.

- Czy mogę wejść? – pyta zmieszana.
- Czuj się jak u siebie w domu. Mieszkanie i tak nie należy do mnie.

Żelka powoli zdejmuje buty, nieszczęsny czepiec, a także kraciasty płaszcz i buraczkowy szal. Po raz kolejny zachwyca mnie dysharmonia pomiędzy jej wspaniałym tułowiem a króciutkimi jak u żaby nóżkami. Wygląda to tak, jakby jej ciało składało się z dwóch zupełnie różnych części. Jak gdyby w cyrku przecięli na pół dwie dziewczyny, a potem, podczas ponownego ich składania, pomylili się i niewłaściwie złożyli połówki.

Mijam ją i idę do kuchni. W lodówce znajduję wczorajszą owsiankę. Mamo, jest jeszcze lepsza niż ta według twojego przepisu: nie smarki, ale galaretka! Dolewam wody i stawiam ją na małym ogniu. Obok nastawiam czajnik.

Wracam do Żelki, patrzę na brudne od płaczu smużki na jej twarzy, słucham jej pełnego żalu pochlipywania. Nie jestem w nastroju, żeby ją pocieszać. W ogóle rola niani dla zasmarkanych dziewczyn jest mi całkowicie obca. Bez emocji czekam na wyjaśnienie, co, jak się okazuje, ma na nią kojący wpływ.

- Nie wiem, jak dalek żyć. To prawdziwy ragnarök!

Ragnarök, powiadasz?

Słownictwo Żelki to osobny temat. Pracuje jako sekretarka w wydawnictwie Mahatma i niczym papuga zapamiętuje nowe egzotyczne słowa, czasem nie do końca rozumiejąc ich znaczenie. Najwyraźniej bywał u nich ostatnio jakiś koneser utopii albo antyutopii. Ciągłe widuję te przytępawe postacie w grubych okularach i z łupieżem na kołnierzach (mogą być równie dobrze po czterdziestce, jak i po siedemdziesiątce, nie da się tego od razu ocenić), bo moje biuro znajduje się zaledwie kilka pomieszczeń dalej.

Poznałyśmy się z Żelką – która naprawdę ma na imię Angela – na przerwie na papierosa, na końcu długiego korytarza, tuż obok szatni. Wystarczyło raz wymienić kilka zdań, by następnego dnia Żelka radośnie machała mi na powitanie, odganiając rękoma kłęby dymu. Wkrótce postanowiłyśmy wspólnie rzucić palenie i tak zaczęła się nasza dziwna przyjaźń.

– Żelko, najpierw przerwałaś mi sentymentalne spotkanie z ojcem, a potem postanowiłaś się rozbeczeć. Jak to się według ciebie nazywa?

– Przepraszam, zawsze coś psuję. A gdzie on jest? W kuchni?

No i jak się na taką gniewać?

– Nie, wraca właśnie z Niagary pociągiem widmem. Ale to tylko między nami. Dlaczego wcześniej nie zadzwoniłaś?

– Zabrali mi komórkę. – Żelka wkłada ręce do kieszeni i wywraca je na wierzch.

– Kto?

Żelka przestępuje z nogi na nogę.

– Chcesz? Pokażę ci.

– Co pokażesz? Ragnarök?

Żelka potakuje głową, odwraca się i jednym ruchem ściąga sweter wraz z tym, co pod nim. Momentalnie paraliżuje mnie mieszanka oburzenia, zachwyty i przerażenia.

Plecy Żelki to teraz wielkie rewolucyjne płótno. Pomimo specyficznego stylu, do którego pasowałoby określenie „subtelna masakra”, widać, że autor nie jest całkowicie pozbawiony artystycznego talentu. Umiejętnie bowiem oddano proporcje, perspektywę, a nawet drobne detale. Całość wykonana została kolorowymi pisakami albo tuszem.

Z lewej strony przedstawiono funkcjonariuszy Berkutu z tarczami, pałkami, kaskami na głowach i wronami na kaskach. Za nimi widnieją zarysy budynku rządowego, coś pomiędzy Radą Najwyższą a Radą Ministrów.

Po prawej stronie piętrzą się barykady z opon i gruzu. Powiewają flagi, rewolucjoniści trzymają papierosy w ustach i koktajle Mołotowa w dłoniach. Jeden z protestujących, wychyliwszy się zza barykady, chwytą za nogę berkutowca, a ten łomoce go pałką.

Cała ta pstrokata kompozycja obramowana jest brunatnymi liniami, prawdopodobnie śladami po chłóście. Dodają one temu niebywałemu dziełu szczególnej ekspresji i autentyczności.

Nie mogę się powstrzymać i dotykam palcem głowy berkutowca. Od jego kasku bije chłód. Żelka wydaje z siebie cichy jęk.

– Kto to zrobił?

– Mama.

Pani Toma przez całe życie pracowała jako masarka, najpierw w państwowych, a potem w prywatnych zakładach mięsnych. Jej budowa ciała, postawa i wyraz twarzy przypominały Minotaura, malowanego na starożytnych greckich wazach. Miesiąc temu, kiedy Majdan dopiero się zaczynał, przyszłyśmy z Żelką do mieszkania jej rodziców, aby się ogrzać. „Chodźcie, dziewczyny, usiądźcie przy



stole, jedzcie: żeberka, zimne nóżki, rolady, pieczeń, medaliony cielęce, kiełbasa domowa...”, padło jeszcze kilka nazw potraw mięsnych, których nie zapamiętałam. Spojrzenie pani Tomy hipnotyzowało, zmuszając do wzięcia kolejnej porcji i posłusznego pakowania jej do ust. Wolałam nie patrzeć na jej twarz, wystarczył mi widok jej niemal całkowicie pozbawionych paznokci dłoni, pulchnych, pełnych blizn

i koloru surowej wołowiny, jakby ich właścicielka dopiero co wróciła z mrozu. Czułam, jak obserwuje moją szyję i widzi tam *karczek*. Nawet jeśli ja sama nie bałam się tej kobiety, to moje ciało odczuwało w jej obecności niewytłumaczalny zwierzęcy lęk.

Mieli kota o imieniu Kaj. Był tak gruby, że pod jego ciężarem trzeszczało krzesło. W jego różnobarwnych oczach – zielonym i niebieskim – czaiły się arogancja i zuchwałość, które brały się zapewne ze świadomości, że zdążył już w swym kocim życiu pożreć więcej niż jedną krowę czy świnię, czyli zwierzęta, które znacznie przewyższały go swoimi rozmiarami.

Ojciec Żelki siedział cicho na taborecie, sporadycznie kiwając głową, by przytaknąć temu, o czym się mówiło, lub pochwalić jakieś danie. Krótkie, siwe, sterczące wąsiki, łysa głowa z wgnieceniami jak od palców, resztki tatuażu na prawej dłoni. Chyba miało to być jego imię, ale ze startych granatowych linii nie dało się już niczego odczytać. W ogóle zauważyłam to dopiero wtedy, kiedy podawał mi łyżkę do butów.

- Twoja mama świetnie maluje.
- Skończyła liceum artystyczne.
- Za co ci to zrobiła?
- Za rewolucję. Powiedziała mi, że mam się na Majdanie nie pokazywać na oczy. Bo wkrótce przeleje się tam krew, jej serce zawsze przeczuwa krew. A sąsiedzi powiedzieli jej, że znowu widzieli mnie na barykadach.

Żelka wzdycha i opuszcza sweter.

- Żelko, poczekaj, zrobimy zdjęcie, dobrze? Na pamiątkę. To przecież wyjątkowy ragnarök!
- Tak myślisz? Trochę mi wstyd... No dobrze, jak chcesz...

Prowadzę Żelkę bliżej okna i fotografuję to arcydzieło z kilku stron. Potem przypominam sobie o pozostawionych na ogniu w kuchni owsiance i czajniku. Tam też dzieje się dramat: owsianka posapuje na kuchence, z kolei czajnik gniewnie na nią pogwizduje.

Jemy śniadanie, czytając jednocześnie porady, jak pozbyć się siniaków. Jest ich całkiem sporo, ale my wybieramy taką: „Wymieszaj łyżkę miodu i oleju roślinnego z żółtkiem oraz mąką do konsystencji maści i nakładaj na skórę na kilka godzin”. Mieszmamy, nakładamy, zawiązujemy bandażem i w rezultacie otrzymujemy najzabawniejszego pirata na świecie – Żelkę.

Kiedy ja brałam prysznic, Żelka zdążyła zapaść w sen na fotelu. Ma otwarte usta. W ogóle śpiący ludzie z otwartymi ustami to ciekawe zjawisko. Przestają być do siebie podobni, a w rysach ich twarzy pojawia się coś, czego zwykle się u nich nie dostrzega.

Na przykład u Żelki, która wcale nie jest podobna do swoich rodziców, widać teraz szerokie kości policzkowe matki i nos taty, którego czubek zbliżony jest kształtem do serduszka.

Przypominam sobie, że dzisiaj urzędy pocztowe są wcześniej zamykane, a od jutra zaczyna się długi weekend. Odnajduję zawiadomienie o przesyłce dla mnie, chociaż charakter pisma listonosza, który je zostawił, jest gorszy niż u niejednego lekarza. Konia z rzędem temu, kto odczyta, co to, skąd i gdzie odebrać.

Na dworze jest cicho i pusto. Od świeżego powietrza przyjemnie kręci mi się w głowie. Odprowadzają mnie maślane spojrzenia nastolatków, którzy wystają przy bankomacie. Mam ochotę sprowokować ich jakimś słowem lub żartem, ale po chwili całkowicie o nich zapominam.

Na poczcie młoda kobieta przewija swoje maleństwo, które wita się ze mną ogromną bańką ze śliny. Zgrabny pakuneczek nawet na odległość zdradza swoje zagraniczne pochodzenie. Spojrzenie urzędniczki jedynie potwierdza moje przeczucia. To naprawdę paczka ze Stanów, od mojej mamy. Co jest w środku? Kobieta w milczeniu podaje mi nóż, a ja w podzięcie pozwalam jej zaspokoić ciekawość. Fioletowe adidas! Takie fajoskie, że można by je zjeść! Nie trzeba nawet mierzyć, mamy z mamą identyczny rozmiar.

Nieźla z ciebie intrygantka, mamó. Czyli jednak nie dla siebie kupowałaś te buty, ale dla mnie? OK, jeden do zera dla ciebie. Teraz moja kolej, więc pamiętaj, żebyś się mocno trzymała swojej kelnerskiej tacy, kiedy nagle zobaczysz mnie pierwszego marca w twojej nowojorskiej restauracji przy którejś tam *avenue*.

Wracam do domu, a tymczasem w mieszkaniu pali się światło. Kompletnie zapomniałam o Żelce. Przez kilka ostatnich miesięcy po powrocie czekał na mnie mrok pokojów, po tym, jak Żenia pewnego wieczoru spakowała swoje manatki i zniknęła. Żadnej notatki, żadnych wyjaśnień. Telefon milczał. To było tak nieoczekiwane, że nawet nie potrafiłam zapłakać. Szybko zmusiłam się, by zapomnieć jego twarz, głos i zapach, ale nijak nie mogłam poradzić sobie z przekłętymi pocałunkami. Wbrew sobie wspominam czasami, jak odwracał mnie twarzą do łóżka, kuczał i całował pod kolanami, nazywając to miejsce „łódeczkami”. Przesuwał językiem w górę i w dół, jakby wygładzał moją skórę, wyszukiwał ścięgna. Z każdym ruchem coraz bardziej czułam się jak łądyżka pszenicy. W pewnym momencie jego język zamieniał się w sierp, którym kosił moje nogi, a ja padałam na łóżko. Potem można było mnie wiązać w snopki, młócić, ugniatać jak ciasto i w końcu wypiekać.

Właściwie jestem bardzo wdzięczna Żelce za jej nieoczekiwaną wizytę. Tej ofierze „artystycznej” egzekucji, która w zgryzocie przepłakała w toalecie całą noc, należy się jakaś rekompensata. Tuż za rogiem mam znakomitą cukiernię, w której zawsze są świeże ciasta i miłe sprzedawczynie, nawiasem mówiąc, często te zjawiska łączą się ze sobą. Ostatnio kupowałam tu tort dla Żeni. Był Żenia, teraz jest Żelka. Rozumiem, że w ten sposób los żartuje sobie ze mnie.

Kiedy Żelka spostrzeża ten kulinarny cud – czekoladę, orzechy, suszone śliwki, grubą warstwę kremu – do oczu napływają jej łzy i gotowa jest całować z wdzięczności moje ręce. Na wszelki wypadek chowam je za plecami. Po drugiej filiżance herbaty i trzecim kawałku ciasta zanurzamy się we wspomnieniach z dzieciństwa, które, jak się okazuje, mamy bardzo podobne: sanki, narty, śnieżki, prezenty, wyczekiwanie świąt, ich uroczysty początek i błogie trwanie.

– Dzieciństwo to raj, z którego niepostrzeżenie wypędza nas bezwzględny czas. – Zebrało mi się na patos.

Żelka słucha mnie z nieukrywanym zachwytem. Ja natomiast zachwycam się tym, jak udało się jej popaćkać tortem piracki bandaż.

– Nie pójdę więcej na Majdan – szepce ledwie słyszalnie. – Następny ragnarök będę miała na czole. Matka mi to obiecała. I nie zawaha się tego zrobić... Kiedy biła mnie różgami po plecach, mówiła: „Właśnie tak pogodzimy wszystkich ze sobą. Waszych, naszych i tych, co się przypaętali. Tak się kończy rewolucje, tak z nimi trzeba”.

Przez chwilę milczymy, patrząc na migające światła girland w bloku naprzeciwko.

– I ty to zносиłaś? Czy ona może cię jakoś wiązała?

– Nie, wołałam cierpieć.

– A dlaczego nie uciekłaś?

– Boję się jej najbardziej na świecie, a im jestem starsza, tym coraz bardziej. Jednocześnie kocham ją. Bardzo, ale to bardzo ją kocham. Jeśli przestanę się jej bać, to ją zabiję.

A jeśli przestanę ją kochać, to ona mnie zabije.

– Ach tak...

Pod oknem słycać przenikliwy pisk klaksonu. Jakaś kobieta rzuca wiązaną przekleństw, którą przerywa nagłe trzaśnięcie drzwiami samochodu. Żelka patrzy na swoje palce, a ja patrzę na Żelkę i zastanawiam się, kiedy los ześle jej faceta i czy w ogóle to się wydarzy. O własnych perspektywach małżeństwa wolę na razie nie myśleć.

– Czy mogę u ciebie zostać? Do rana? – pyta Żelka tak ostrożnie, jakby bała się zdmuchnąć oddechem kurz na meblach.

– Niechby i do dwóch ranków! Jeśli tylko pasuje ci rozkładany fotel z wyłamaną nóżką.

– Uwielbiam cię! – Żelka aż podskakuje z radości.

## 2

Idąc na Majdan, przypominam sobie obawy przed panującymi tam niskimi temperaturami. Kiedy nadeszły pierwsze przymrozki, coraz częściej mówiło się o odmrożeniach. Postanowiłam wtedy włożyć dodatkowo cztery pary skarpetek, trzy pary majtek, kilka koszulek i dwie pary spodni. Potem, w toalecie, połowę tego zdjęłam, pocąc się i przeklinając. Okazało się, że chłód Majdanu znacząco różni się od innych chłódów. Jeśli ziąb na przystanku czy targowisku można porównać do bezczelnego zalotnika, który stara się jak najszybciej wymacać całe twoje ciało, to mróz Majdanu jest arystokratycznym dżentelmenem, który w pierwszej kolejności interesuje się twoim umysłem i sercem, a dopiero potem resztą. Zaczynasz wciągać się w tę grę, ubierasz się coraz lżej i jedynie na chwilę idziesz się rozgrzać, by jak najszybciej znów wybiec na mróz i podjąć wyzwanie.

Im bliżej Majdanu, tym wyraźniej czujesz, jak twoje „ja” zastraszająco się kurczy. Dziwne, ale to w sumie przyjemne uczucie. Wydarzenia z życia zacierają się, pamięć i potrzeby zostają stłumione, wyostrza się natomiast wzrok, węch i słuch. Instynkty stają się bardziej subtelne. Przyszło mi do głowy, że na Majdanie stanęły do ostatecznego starcia dwa ogromne, reprezentujące odmienne żywioły zwierzęta. Powiedzmy rekin i bawół. A ja, wchodząc na Majdan, wchodzę jednocześnie w ciało bawoła, dodając trochę własnej siły jego mięśniom i ścięgnom.

Staram się najpierw odszukać mojego szefa Leonida. Od pewnego czasu przestał się golić, a do aromatu jego drogich perfum Tom Ford dołączył smolisty zapach ogniska i tytoniu. W jego brązowych oczach czasami przeglądają się chmury krótkiego zimowego dnia, a czasami migotają ognie długiej zimowej nocy. Teraz odbija się w nich arkusz papieru z wypisanymi nazwiskami kilku pracowników i aktualnymi datami. Nasze kolejne spotkanie to kolejna fajeczka w dzienniku, czyli zaliczenie pełnego dnia roboczego. Nie wiem jak inni, ale ja bardzo lubię ten system pracy.

Leonid rozwija nowy, modny biznes. Są to testy DNA, kosztujące pięć czy osiem tysięcy dolarów. Dostajesz w zamian listę odziedziczonych chorób, dedykowaną ci dietę oraz prognozę dotyczącą stanu zdrowia potomstwa. Zdumiewa mnie fakt, że większość naszych klientów potrafi się zadłużyć, byleby tylko skorzystać z naszych usług. Leonid (który nie wyjmuje papierosa z ust, ponieważ badanie wykazało, że nie jest podatny na choroby nowotworowe) uważa to za oznakę dojrzałości narodu, a moim zdaniem to nic innego jak tylko głupota i zaciemnienie umysłu. Aby przejść badania, wystarczy napluć do próbówki, ot, i cała procedura. Uczciwa reklama naszej firmy powinna brzmieć: „Splunięcie za cenę samochodu wraz z iluzją zdrowia”.

Potem odnajduję Barakudę, dwumetrowego przystojniaka po pięćdziesiątce, w huculskim futrze, który, bez względu na pogodę, nigdy nie wkłada czapki. Odpowiada za puszki na datki i jest moim partnerem w pracy.

- O, królowa żebraków! – Barakuda przesyła mi buziaka w powietrzu.
- Do usług, mój panie.
- Gdzie byłeś? Robota stoi bez ciebie.

Barakuda przekazuje mi puszkę i delikatnie popycha do przodu. Nie ukrywa sympatii do mnie. Zresztą ma powód: moja puszka jest zawsze pełniejsza niż te, z którymi przychodzą moi koledzy.

Zanurzam się w ludzki potok, który wynosi mnie na jedną z kilkudziesięciu wysp, na której panuje osobliwa atmosfera, nastrój, także same rozmowy, a nawet temperatura powietrza. Każdego dnia sytuacja może się radykalnie zmienić, tam, gdzie wczoraj była nerwowo i brakowało nadziei, dziś mogą dominować spokój i wiara. Albo odwrotnie.

To nieprawda, że pieniądze ofiarowują głównie przypadkowi faceci w drogich ubraniach, chcąc w ten sposób uzyskać odpust, by nie pojawiać się tu wcale lub robić to bardzo rzadko. Jeśli tacy goście, zasłaniając się ciałem, wyciągną ostatecznie z portfela jakiś banknot, będzie to co najwyżej „dziesiątka” lub „dwudziestka”. Uśmiechną się do ciebie, lecz nie będą w stanie ukryć irytacji: przyjechali tu przecież na darmowe spektakle, a ty proponujesz im kupno biletu. Nie warto też prosić o pieniądze pań stojących przy garnkach z barszczem lub makaronem po marynarSKU. One już zdążyły przekonwertować swoje datki na jedzenie. No, ale tu nie można mieć o nic pretensji.

Trzeba szukać darczyńców wśród swoich. Jakże mało wiemy o dobroci i możliwościach naszych bliźnich! Piją z tobą herbatę, wcinają kanapki, proszą o papierosa lub na odwrót – częstują nim. Jak tylko poczujesz, że odpowiada ci twarz lub spojrzenie takiej osoby, natychmiast pędź do niej, nie pożałujesz!

Sześćdziesięcioletnia kobieta, z wyglądu emerytowana nauczycielka, przyłącza się do grupy grzejących się obok płonącej beczki mężczyzn. Z jej nauczycielskiej torby wystaje spora wiązka drewna. Jak jej się udało ją tutaj przytaszczyć?

- Wszystko, co mogę ci dać, to buziak, nic więcej ode mnie nie dostaniesz – chichocze mężczyzna po sześćdziesiątce, właściciel najbardziej czerwonych policzków na Majdanie, a może i na całej Ukrainie.

- Poproszę. Od lat nikt mnie nie całował.

Na poczcie głównej wariatka Zina kontynuuje nieustanną walkę z samą sobą. Krzyczy. Śpiewa. Zaczyna tańczyć. Robi przysiady. Ucieka przed sobą, chowa się, po czym sama łapie się za kołnierz. Gwałtownie obejmuje kolumnę i zalewa się gorzkimi łzami. Czasami wydaje mi się, że wie więcej niż my, ale to ukrywa. Być może jest jedną z wielu fatamorgan tego magicznego miejsca.

Młody chłopak grzeje ręce nad ogniem, jego twarz rozmywa się w rozgrzanym powietrzu, ale jego głos brzmi czysto jak u lektora.

- Jak akcentować po rosyjsku Słowiańsk? Na pierwszą czy drugą sylabę? – pyta jego kolega w żółtej kurtce.

*Dalsza część książki dostępna w wersji  
pełnej.*

